

Anna Lisowska (z d. Bujarska)

DWA MUSZYŃSKIE WSPOMNIENIA

Nasza stara szkoła podstawowa

Jak zwykle podróż do Muszyny z moją koleżanką Ulą - współtowarzyszką zabaw w Muszynie i bliską sąsiadką - umilałyśmy sobie wspomnieniami z lat dziecinnych w Muszynie. Tym razem naszym wspomnieniem była stara Szkoła Podstawowa nr 1, do której chodziłyśmy razem przez 7 lat.

Nasza staruszka stała sobie sama, bez obecnie dobudowanych nowych obiektów, wysoka jak topola, z dużym boiskiem, na którym w zimie mieliśmy robione przez Straż Pożarną lodowisko. Sale klasowe duże, wysokie, z kaflowymi piecami, w których woźny wcześniej rano w okresie chłódów i zimy palił. Podłogi czarne jak smoła, napuszczone odpowiednim specyfikiem.

No i nasz „srogi” Kierownik Szkoły - pan Halaszka. Baliśmy się go bardzo, ale na złe nam to nie wyszło. Dyscyplina zawsze musiała być, nie było mowy o żadnych wybrykach, bo każdy miał na uwadze „Kierownika”. Mieliśmy z nim lekcje matematyki. Ten, co nie ma polotu w kierunku matematyki, to wie, jaką gehennę przeżywa się podczas 45 minut lekcji matematyki, i to przy wymagającym nauczycielu. Baliśmy się matematyki z Kierownikiem, a najbardziej tego, że każdy, kto otrzymał na lekcji ocenę niedostateczną szedł stać do końca lekcji do kąta, czyli pod piec, z mianem „osiół”. Nieraz pod piecem w czasie lekcji stały trzy, cztery osoby, oglądane przez wszystkich, mało tego, każdy musiał dać dzienniczek ucznia; nauczyciel wpisywał w nim ocenę niedostateczną i zabierał do kancelarii. Po lekcjach każdy delikwent musiał osobiście zgłosić się do kancelarii po dzienniczek, dać adnotację Kierownika do podpisania w domu przez rodzica, a na drugi dzień pokazać podpis Kierownikowi. Samo stawienie się ponownie przed Kierownikiem było dużą karą, ponieważ baliśmy się go bardzo. Ale mimo, że wymagał z zakresu matematyki bardzo dużo i często, jak to się mówiło, „lagował”, to nikogo na koniec roku nie zostawił do powtarzania klasy.

Bardzo pilnował „dyscypliny wieczornej”, tj. nie wolno nam było przebywać na ulicy po godz. 20-tej. A nasze zabawy przeważnie odbywały się na Rynku! Kierownik każdego dnia robił wieczorem obchód ulic, mieliśmy jednak zawsze tzw. „stójkowego”, który stał na „czatach” i wypatrywał naszego Kierownika. Jak tylko wyłoniła się z ciemności jego postać i usłyszeliśmy hasło: „Kierownik idzie”, wszystkie dzieci zmykały, chowając się, gdzie się dało, po sieniach, międzuchach - byle nas nie przyłapał, bo oj bieda by była, na pewno zachowanie na drugi dzień byłoby obniżone. Jak tylko Kierownik minął Rynek, znów wychodziliśmy ze schowków, bawiąc się do jego powrotu - zwykle po godzinie wracał tą samą drogą ale nasza zabawa też z reguły dobiegała już końca.

Należy jeszcze wspomnieć nasz duży - wybawczy - ręczny dzwonek, którym pan Markiewicz (pseudonim Święty) jako woźny szkolny dzwonił na przerwę. Niektórzy

uczniowie mieli z nim układy i kiedy trzeba było (zwłaszcza, gdy była lekcja matematyki), prosili go o 5 minut wcześniejszy dzwonek na przerwę. Niekiedy woźny szedł im na rękę.

No i na pewno nikt z ówczesnych uczniów nie zapomniał dużego wiklinowego kosza, pełnego przepysznych świeżych bułek z piekarni pana Turskiego, które sprzedawała nam na dużej przerwie jedna z pań zatrudniona w szkolnej stołówce. Tak dobrych bułek, słodkich naprawdę rogalików, plecionek z makiem, „solodragów” z solą czy kminkiem - już nie ma.

Największą jednak atrakcją naszej szkoły był pan Ferdynand Palej, kierownik kina „Baszta”, który przynosił nam raz w miesiącu najlepszą wiadomość na świecie, tj. „zapowiedź szkolnego filmu”, co wiązało się ze skróconymi lekcjami i pójściem wszystkich klas na film - za jedyne 2 złote. Tyle kosztował bilet szkolny. Lubiliśmy takie szkolne filmy. Zwykle w naszej klasie pan Palej pojawiał się na lekcji matematyki, co łączyło się z wielce entuzjastycznym powitaniem jego osoby. Zawsze wygłaszał krótką prelekcję na temat zapobiegania pożarom, opowiadał obowiązkowo w skrócie treść zapowiadanego filmu, a dzięki temu mieliśmy pół godziny lekcji matematyki z głowy.

Nie było mowy, aby ktoś z dzieci znalazło się na seansie wieczornym i to nie w swoim przedziale wiekowym. Pan Kierownik Szkoły „czuwał” - często był obecny na wieczornym seansie, siedział na swoim stałym miejscu po lewej stronie sali, na tzw. iksach. Kiedy tylko „przyuważył” młodziana na niedozwolonym filmie, zaraz na drugi dzień był on na dywaniku w kancelarii. Zachowanie także zostawało obniżone, a to dla nas była wręcz zgroza.

Patrząc z perspektywy czasu, muszę uznać te wszystkie dyscypliny wieczornych zabaw na ulicy, zakazy chodzenia do kina na niedozwolone filmy i wszelkie innego rodzaju zakazy za bardzo dobre i wychowawcze. Wtedy czuło się jakiś respekt, a teraz miło je z Ulą wspominamy...

Pisanka

Ostatnio, jadąc do Muszyny, wspominałyśmy z Ulą świąteczne zwyczaje w latach naszej młodości. Co prawda podróż miała miejsce w okresie bożonarodzeniowym, ale zeszłyśmy na zwyczaje wielkanocne. Moja przyjaciółka przypomniła mi, jak to nasi dzielni strażacy (ci, którzy pełnili straż przy Grobie Pańskim) zawsze w Wielką Sobotę stali przy drzwiach kościoła w Muszynie i zbierali do hełmów poświęcone jajka. Na pewno ten zwyczaj zbierania jajek zachował się do obecnych czasów; wtedy tak było każdego roku.

Głównym halabardzistą w tym okresie był pan Józef Basta, dla którego brat mojej przyjaciółki Uli, Michał - zdolny rysownik - wykonywał każdego roku specjalną pisanekę. Była to malownicza pisanka, bardzo dowcipnie opisana, w jakiś sposób związana z postacią pana Basty, no i oczywiście za każdym razem zadedykowana: „Dla dzielnego strażaka Basty”. Pan Basta początkowo podchodził do tego nieufnie, ale z biegiem lat (a powtarzało się to co roku, przez około 20 lat) przyzwyczaił się do tego rytuału

i wręcz czekał na swoją pisanekę. Kiedy przypadło 10-lecie jej wykonywania, otrzymał specjalną jubileuszową wraz z odpowiednią adnotacją

Po raz ostatni, kiedy miał otrzymać swoją pisanekę, wypadła ona z koszyka Uli na progu kościoła i mocno popękała; pan Basta czekał na nią jak zwykle - niestety dostał uszkodzoną. Następnej pisaneki już nie otrzymał, bo i twórca pisanek Michał, i sam pan Basta nie doczekali niestety kolejnych świąt wielkanocnych.

* Istotnie, ten piękny zwyczaj trwa do dnia dzisiejszego (przyp. red.)



Kościół parafialny pw. św. Józefa
(drzeworyt Aleksandra Rojny)